

# Stracona okazja

Gdy w r. 1949 „Niemcy“ Leona Kruczkowskiego weszły na czczone sceny polskie, a równocześnie ukazały się w teatrach niemieckich, ówczesna dyrekcja Teatru Śląskiego nie zainteresowała się tą sztuką. Nie doceniła jej ideologicznych i artystycznych walorów, a przy tym nie chciała „naśladować” innych teatrów, przesadziwszy w

walki szczególnie pożądanym i skutecznym.

„Niemcy“ mają już dziś swą tradycję teatralną. Grano ich chyba we wszystkich teatrach polskich, grano na wielu scenach niemieckich, grano w Paryżu, a dzięki wizycie w Polsce Państwowego Teatru Dramatycznego z Drezna w r. 1951 mieliśmy sposobność oglądać również



„Niemcy“ w Stalingrodzie. Od lewej: R. Wasilewski (prof. Sonnenbruch), B. Smela (Peters), Z. Rzuchowski (Willi)

tym wypadku bez wątplenia w ambicji tworzenia oryginalnego repertuaru. A potem rzecz poszła „jakoś” w zapomnienie i tak stolica województwa stalinogrodzkiego najzupełniej niezastudzenie i niesłusznie czekała na wystawienie „Niemców” aż do roku 1953. Czekala na pewno przynajmniej trzy lata za długo.

To zaniedbanie trzeba było oczywiście wyrównać. Złe bowiem świadectwo wystawiłby sobie ten teatr polski, który ominąłby sztukę, będącą najpoważniejszym sukcesem naszej dramaturgii powojennej, sztukę, która pierwsza na szerszą skalę zaprezentowała nasz dramat współczesny za granicą, docierając aż na egzotyczne dla nas sceny japońskie. Oczywiście nie te prestiżowe względy są tu najważniejsze. „Niemcy” są sztuką o dużej sile społecznego oddziaływania, sztuką, która zmusza do myślenia, o której nie podobna z dnia na dzień zapomnieć. Problem, który Kruczkowski tu poruszył, nic nie stracił ze swojej aktualności i nadal stoi w centrum nie tylko naszych zainteresowań. Słowem — „Niemcy” są sztuką potrzebną i pożyteczną, której nie można odkładać do archiwum. A to, że właśnie Śląsk ujrzał „Niemców” najpóźniej, trzeba chyba uznać za poważny błąd polityczny. Tutaj, gdzie propaganda adenauerowska usiłowała i usiłuje atakować najsilniej, sztuka ta ma najwięcej do powiedzenia, tutaj jest ona orężem

pod wieloma względami interesującą i pouczającą interpretację niemiecką. Każdy z ludzi interesujących się teatrem nosi w pamięci jakby album najlepszych zdjęć teatralnych, utrwalających poszczególne sceny i postacie. Toteż oglądając „Niemców” dzisiaj — ustawicznie powracamy do tego albumu, dokonujemy porównań i zestawień. Gdy pamięć zawodzi, sięgamy do programów i roczników „Teatru”, a wówczas obrazy odzywają z nową, sugestywną siłą.

Zdaje się, że Teatr Śląski w Stalingrodzie nie docenił tego faktu. Reżyserię „Niemców” powierzył absolwentce Państwowej Wyższej Szkoły Teatralnej, Elwirze Turskiej, dla której praca nad sztuką była dopiero warsztatem reżyserskim. W dodatku postawił ją przed wyjątkowo trudnym zadaniem, dając sztuce obsadę, której w żadnym wypadku nie można nazwać przemyślaną i trafną, skoro była po prostu rezultatem tego, że akurat ci właśnie aktorzy nie byli zajęci w równocześnie przygotowywanych przez Romana Zawistowskiego „Bancroftach”. Skrzywdzilibyśmy jednak wykonawców, gdybyśmy twierdzili, że utrzymanie na przyzwoitym poziomie przedstawienie „Niemców” nie leżało w ich możliwościach. Jeżeli jednak niemal wszyscy grali tu wyraźnie pożyte tych, możliwości, winić za to trzeba przede wszystkim reżyserię.

Wina reżyserii jest tym większa, że „Niemcy” to po prostu sztuka, która — mówiąc językiem teatralnym — trudno położyć. Niemal każda postać ma tu mocno i wyraźnie zarysowaną sylwetkę, niemal każda sytuacja sceniczna ma duży ładunek dramatycznego napięcia, dialog prowadzony jest wręcz doskonale, czego nie można jeszcze było powiedzieć o „Odwetach”, gdzie nawet w świetnym akcie drugim język i styl odbiegał miejscami zbytnio od żywej mowy. Toteż nawet dysponujące słabszymi i mocno zróżnicowanymi zespołami aktorskimi teatry wychodziły z realizacji „Niemców” obronną ręką, co na przykład stwierdzić można było swego czasu na Wybrzeżu, czy przed kilku miesiącami w Opolu. Z drugiej jednak strony każda rola w „Niemcach” ma bogaty podtekst, który daje zarówno reżyserowi jak i aktorowi szerokie możliwości twórczej interpretacji, wspartej o rzetelną wiedzę o człowieku i czasach, których obraz sztuka Kruczkowskiego utrwala.

Reżyserka „Niemców” na scenie stalinogrodzkiej żadnego z tych wielkich walorów sztuki nie umiała wyzyskać. Po prostu prześliznęła się po tekście puszczając aktorów samopas, pozostawiając im wolną rękę i nie umiając stworzyć scenicznej wizji poszczególnych postaci. Aktorzy więc radzili sobie jak mogli ze zmiennym powodzeniem, popełniając szereg omyłek i błędów. Brak kierowniczej ręki widzi się w tym przedstawieniu na każdym kroku, w każdej niemal scenie. Jest to bodaj najsłabsze przedstawienie „Niemców” z tych, jakie widziałem na scenach polskich. Bije od niego chłód i obojętność. Patrzymy na ten spektakl, jak na bezduszne odrabianie pańszczyzny, jak na odrabianie gbowiażku, do którego nie ma się żadnego wewnętrznego stosunku, który wykonuje się bez przekonania. I to jest tego przedstawienia cecha najprzykrejsza, którą podnieść trzeba jako zarzut najpoważniejszy.

W tym ogólnym szarym i bezbarwnym obrazie, którego chłód udziela się i widowni, były jednak i jaśniejsze punkty. Wymieńmy chociaż dwa, które wystąpiły najwyraźniej. Pierwszy z nich to rola Joachima Petersa w wykonaniu Bolesława Smela, drugi natomiast — to dobrze przemyślane, dalekie od uproszczeń dekoracje Jana Hrynkowskiego.

Realizacja „Niemców” powinna była stać się jeszcze jednym wielkim osiągnięciem artystycznym Teatru Śląskiego, mogła w sposób nowy i piękny przypomnieć teatrom polskim, że „Niemcy” są sztuką, która żyje i domaga się przypomnienia. Okazja po temu została niechlubnie zaprzepaszczone.

ZDZISŁAW HIEROWSKI